№ 17. Warszawa, 24 kwietnia 1908 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb 1 k. 90. Miesięcznie kop 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

Przypominamy Szan. Czytelnikom, że czas nadsyłać prenumeratę na kwartał II.

TREŚĆ NUMERU.

NIEOCZEKIWANE SKUTKI.

Gdy zimą roku zeszłego odbywały się wybory do parlamentu Rzeszy Niemieckiej, spekulowano w społeczeństwie naszym gwałtownie na *baisse*'ę ruchu społecznego.

Dla całej burżuazji naszej nie było wówczas nic, czegoby nie potrafiono wziąć za cenny argument teoretyczny lub proste, łobuzerskie podstawienie nogi polskiemu ruchowi robotniczemu, rozbijanemu już wtedy bardzo skutecznie taranem reakcji politycznej.

Ponowna fala bandytyzmu, będąca przecież tylko odrodzeniem nożownictwa przedrewolucyjnego, przesilenie w przemyśle naszym, teror ekonomiczny, z jednej strony, — niejasne stanowisko socjalnej demokracji niemieckiej w sprawie strajku powszechnego, pierwsza lepsza uchwała oportunistyczna angielskiej Partji Pracy lub replika Clemenceau Jaurèsowi z drugiej — wszystko to umiejętnie wyzyskiwane było przez naszą reakcję społeczną przeciw najbardziej lewicowej opozycji, wszystko to bowiem miało świadczyć o upadku lub w najlepszym razie o „rozumnem" umiarkowaniu, nieznanem u nas, ruchu proletarjackiego na zachodzie Europy.

Szczytem jednak tryumfu moralnego dla burżuazji naszej, zarówno dla jej odłamów postępowych, jednoczących się duchowo z niemieckiemi żywiołami wolnomyślnemi, jak i dla odłamów nacjonalistycznych, z tej samej przecież ulepionych gliny co hakatyści pruscy, były właśnie wspomniane tylko co wybory.

Jak wiadomo, socjalni demokraci niemieccy ponieśli wówczas druzgoczącą — choć zresztą czysto tylko parlamentarną — klęskę: liczba członków ich frakcji zmniejszyła się prawie o połowę, cofając rzeczy do stanu ich z przed lat wielu.

Demagodzy nasi, wierząc zresztą, że klęska ta jest w istocie klęską pozorną, potrafili nadać jej znaczenie symboliczne, upostaciować ją jako przejaw bankructwa idei czysto robotniczej, klasowej, przedstawić jako początek końca.

W nieopatrznej radości swej nie przeczuwali wówczas, jak nieoczekiwane skutki przyniesie ta klęska, jak w przypadkowy napozór, a jednak logiczny w surowym swym tragizmie sposób zemści się na Polakach, zostających pod panowaniem niemieckiem, to znaczy pośrednio na całym narodzie polskim.

Zaledwie oto dni kilka dzieli kilkomiljonową ludność polską, osiadłą od wieków po opolach wielkopolskich czy śląskich, lub rozbiegłą za pracą po ziemiach czysto niemieckich, od chwili, gdy na jej usta nałożony zostanie kaganiec.

Wywłaszczona z ziemi, materjalnej podstawy kultury, pozbawiona będzie języka, tego najważniejszego czynnika rozwoju duchowego, skazana na milczenie poza drzwiami domu rodzinnego...

A stało się to *możliwe* jedynie wskutek właśnie zeszłorocznej klęski demokratów socjalnych.

Ich to zmniejszenie liczebne stworzyło taki układ frakcyjny w parlamencie Rzeszy, że „języczkiem u wagi" stali się wolnomyślni, ich to trzydziestu czy czterdziestu usuniętych z Izby poselskiej, gałek zabrakło w słynnem głosowaniu nad § 7, w którym przechyliło szalę ku barbarzyńskiemu projektowi burżuazji niemieckiej dwadzieścia ledwie głosów!

Jasno uwydatniło się, czyjem jest dziełem kneblowanie ust polskich, czym grozi dla Polaków osłabienie lub nawet sztuczne stłumienie czynników szczerze demokratycznych, opozycyjnych, wolnościowych...

Chwila, chwila pochylenia się parlamentu ogólnoniemieckiego na prawo, którą rząd czwartego kanclerza wybrał do wniesienia projektów wywłaszczycielskich, świadczy najdowodniej o tem, że najnowsze bezeceństwa pruskie — biorąc z punktu widzenia uczuciowego — a konieczności dziejowe — z punktu

rozumowego — są wyrazem dążeń burżuazji niemieckiej, nie mają nic wspólnego z ludem, a zwłaszcza z uświadomioną klasą robotniczą tego kraju.

Zbytecznie zapominają też o tem nasi narodowi demokraci, których wybraniec umiał powiedzieć w Dumie obecnej, skłaniając się przed październikowcami, że potrafi uszanować i ocenić zdrowy nacjonalizm innego narodu... Niesłusznie miotają się przeciw hakatystom pruskim, którzy nie znając niewątpliwie etyki „egoizmu narodowego“ p. Z. Balickiego, działają całkowicie w myśl jego nakazów.

Wszelki możliwy zarzut, że najskrajniejsza demokracja niemiecka przychylnie patrzy w głębi ducha na prawa przeciwpolskie, kładzie zaś swe *veto* jedynie ze względów taktycznych, zbić można z całą łatwością, chociażby metodą geometryczną, *ex definitione*.

Słowo wpierw o tem, na jakiej podstawie zarzut podobny mógłby zostać wysunięty.

Wiadomo, że socjalna demokracja niemiecka uchodzi — przynajmniej u nacjonalistów wszystkich krajów — za najbardziej patrjotycznie usposobioną ze wszystkich partji socjalistycznych. Wynikło to przekonanie z oświadczeń Bebla i niektórych innych prawicowych przewódców tej partji, że uświadomiony robotnik niemiecki nie zawaha się w razie potrzeby ani na jedną chwilę przed wzięciem na ramię karabinu w celu obrony zagrożonej ojczyzny. Słowa te właśnie, będące w części — nie bardzo zresztą zręcznym — manewrem taktycznym, w części zaś wyrazem niczem niesprzecznego z całokształtem polityki robotniczej poglądu, dały pohop do twierdzeń, że proletarjat niemiecki daleki jest od uznawania *à outrance* solidarności międzynarodowej, a skłonny przeciwnie do nacjonalizmu pangermańskiego.

Pomijając też dlatego wszelkie dowodzenie ideologiczne, jako zawsze sporne, dające się wielorako tłumaczyć, wskażemy odrazu, że właśnie interes klasowy, ten ostatecznie rozstrzygający i nie uznający żadnego co do szczerości swej poddawania pod wątpliwość czynnik, musi z proletarjatu niemieckiego stwarzać zażartego i jedynie nieprzejednanego wroga wszelkich, dokonywanych w imię idei nacjonalistycznej, zamachów wywłaszczycielskich.

A zwłaszcza, gdy idzie o takie „prawa“, jak ograniczenie wolności słowa, swobodnego używania języka rodzinnego.

§ 7 w istocie jest nie tylko prawem przeciwpolskiem, ale i przeciwrobotniczem, godząc w to, co stanowi dla skrajnej opozycji społecznej dobytek najcenniejszy — swobodną możność agitacji.

Zakaz używania języka polskiego na zgromadzeniach publicznych równa się zakazowi tych ostatnich, uniemożebnia przez to samo kształcenie polityczne drogą wieców szerokich rzesz ludowych, godzi pośrednio na wolność zmów i strajków, rozwój związków zawodowych, — wszystko to bowiem wymaga publicznego omawiania zagadnień palących w języku zrozumiałym i łatwym, to znaczy rodzinnym.

Uświadomienie klasowe, polityczne i ekonomiczne, ludności Śląska, Wielkiego Księstwa Poznańskiego, robotniczych polskich tłumów napływowych w Berlinie, Bremie, Hamburgu, prowincjach nadreńskich, — tych wszystkich, którzy jedyne *polskie* słowo publiczne będą mogli odtąd usłyszeć z kazalnicy, skąd tak błędnie orjentować się można w życiu współczesnem, zostaje przez § 7 zahamowane w swym biegu na długie lat dziesiątki.

Idea proletarjacka, o której mówimy tu zresztą tylko nawiasem, poniosła przez tylko co uchwalone prawo kagańcowe, klęskę równie poważną jak narodowa idea polska.

Jedyną korzyścią, jakąby dla obrońców tej ostatniej mogła przynieść owa klęska, byłoby zrozumienie, że zachodzi paląca potrzeba nowej orjentacji w poszukiwaniu sprzymierzeńców wśród istniejących stronnictw politycznych. Łudzić się jednak tą nadzieją co do burżuazji naszej byłoby czemś śmiesznem. Zbyt tępo widząca na oczy, zbyt jeszcze tkwiąca w „tradycji“, zbyt szybko natomiast zdeprawowana

---

OKTAWJUSZ MIRBEAU.

OGRÓD UDRĘCZEŃ.

(Ciąg dalszy.)

Klara nie chciała się zatrzymać przed drugim posągiem Buddhy, którego twarz poszczerbiona i wytarta przez czas wznosiła się na słońcu. Jakaś kobieta przyniosła mu w ofierze kwitnące gałęzie ajwy, której kwiaty wydały mi się dziecięcemi serduszkami. Na zawrocie jednej alei natknęliśmy się na nosze, niesione przez dwuch ludzi. Na noszach poruszał się kłąb skrwawionego mięsa, coś w rodzaju istoty ludzkiej, której skóra, pocięta na pasy, wlokła się po ziemi jak łachmany. Choć nie dostrzegało się niemal śladu czegoś ludzkiego w tem, co było jedną okropną ziejącą raną, było widać, że ten okropny krwawy zwał jeszcze oddycha. Czerwone krople lepkiej krwi znaczyły za nim ślad na alei.

Klara zerwała dwie piwonje i w milczeniu położyła je drżącą ręką na noszach. Tragarze uśmiechnęli się bydlęco, obnażając czarne dziąsła i polakierowane zęby.

Kiedy nosze się oddaliły, Klara rzekła:

— Ach! Ach! Widzę już dzwon!..

A naokół nas, naokół oddalających się nosz padał jakby deszcz różowy, seledynowy, biały... Coś falowało mieniło się, drżało cieliście, mlecznie, jak opal, połyskiwało jak perłowa macica. A było w tem tyle wdzięku i zmienności, że niepodobna oddać słowami nieskończonej niewymownej słodyczy i czaru tego rajskiego ogrójca...

VI.

Zboczyliśmy z okrężnej alei, na którą wychodzą inne, schodzące się w środku ogrodu. Biegnie ona wzdłuż podnóża pochyłości, na której rośnie mnóstwo nagich przepysznych krzewów. Szliśmy po dróżce wyżłobionej głęboko w gruncie i prowadzącej wprost do dzwonu. Dróżki i aleje są tam wysypane tłuczoną cegłą, co nadaje zieleni trawników i liści nadzwyczajną tęgość i przy oślepiającym świetle jakoby szmaragdową przejrzystość. Na prawo — kwieciste polanki nalewo — znów krzaki. Różowe klony, z jasno-srebrzystym lub jaskrawo-złotym nalotem, jakoby brązowane lub miedziano-czerwone; mahonie o liściach ciemnoczerwonych, zda się zrobionych ze skóry, a szerokich jak liście palmy kokosowej; powleczone różnobarwnym lakiem eleagnusy; osypany łyszczykiem jabłkowiec, wawrzyny lśniące i migotające tysiącami tęczowych kryształów; obraźnica, na której liściach żyłki koloru starego złota są jakby wprawione w haft jedwabny i różowe koronki; błękitne, seledynowe

przez macherów „narodowych“ składających hołd wszelkim październikowcom, nie potrafi zdobyć się na nagły zwrot, na zgodzenie się — dla uratowania pewnych części swego dobytku materjalnego i kulturalnego — na utratę niektórych przywilejów klasowych. I tylko szeroki ogół, ci właśnie, których prawo kagańcowe najbardziej narazie dotknie, nie omylą się, krocząc w milczeniu i poomacku, w orjentacji politycznej, prowadzącej niechybnie do zwalenia — wraz z wielu innemi — tylko co uchwalonego prawa.

W. W-ski.

KTO STWORZYŁ CZŁOWIEKA?

Istniały i istnieją dotychczas — jako odpowiedź na wyżej postawione pytanie — dwie, ostatecznie już dziś wyrobione, zdecydowane hipotezy.

Pierwsza mówi: człowieka stworzyła istota nadprzyrodzona.

Jest to przypuszczenie najstarsze, najpierwotniejsze, najwięcej mające historji i obecnie najbardziej rozpowszechnione. Występowało w historji i spotyka się dziś jeszcze w najrozmaitszych postaciach i odcieniach, począwszy od zupełnej, naiwnej wiary w teksty legend stworzenia świata i człowieka przez istotę czy istoty nadludzkie, nadprzyrodzone, a kończąc na finezjach najbardziej z przesądów oczyszczonego teizmu.

Zwolennikami i wyznawcami tej hipotezy są dziś jeszcze prawie wszystkie narody, nie należące do sfery tak zwanej europejskiej cywilizacji, objęte wyznaniami Buddy, Konfucjusza, Zoraustra, Mahometa etc. Rasy żółta, oliwkowa o ile nie stały się chrześcijańskiemi, są obecnie prawie całkowicie pod panowaniem teizmu. *Zgodnie z ich wyobrażeniami, człowieka w taki lub inny sposób stwarza jakieś bóstwo.*

Teizm, jako hipoteza, powstał, jak wszystko, z naturalnych, surowych wyobrażeń ludzkich drogą zwykłych metod: obserwacji, eksperymentu, myślenia etc. Bieg tej ewolucji jest znany. Człowiek wyłączył i upostaciował pewne swoje własne władze — mianowicie władzę tworzenia — i uformował z tego istotę na obraz i podobieństwo swoje.

Powstawanie wielu rzeczy, które znał dobrze, dało się skutkiem tego bardzo jasno tłumaczyć.

Kto zbudował most, zaorał ziemię? Człowiek.

Wieżę Babel zbudował człowiek, szczepi on drzewa, prowadzi akweduktami wodę z gór, układa historje, stawia katedry gotyckie, pisze modlitewniki, Boską komedję etc. *Wszystko jest przez kogoś zrobione, nic nie powstaje samo.*

Rzeczy dziwniejsze, których na karb ludzi i zwierząt złożyć nie można, robią złe duchy i inne tego rodzaju osobistości pod osłoną nocy. Czasem lunatycy, ludzie dziwni. Wiele dziwnych rzeczy robią umarli, albo ich dusze. Wreszcie „istoty“.

Słowem, przy odpowiednio płodnej wyobraźni, pierwotny, słuszny sposób tłumaczenia dzieł ludzkich, poczyna się rozszerzać na rzeczy, z twórczością ludzką nie mające nic wspólnego. Jest to sposób tłumaczenia zjawisk bardzo łatwy, pierwotny i skutkiem tego tak bardzo rozpowszechniony wśród warstw, które na inny sposób tłumaczenia rzeczy i świata zdobyć się nie mogą.

Czemu wiatr wieje? Człowiek nie jest jego sprawcą. Chociaż może on siłą płuc poruszyć powietrze, ale co to znaczy w porównaniu z orkanem?

Na północy, po za mglistą krainą Tule mieszka Boreal. On wraz z synami wywołuje wiatry. Pioruny rzuca Zeus, Apollon wozi słońce po niebie. Hefeistos stwarza grzmoty podziemne i trzęsienia ziemi, Pluto ognie podziemne, Poseidon robi burze morskie, Thetis podnosi mgły, Demeter daje plony, Pan obdarza miodem i mlekiem. W tym systemie i z człowiekiem nie robi się wiele ceremonji. Kadmus potrzebuje żołnierzy i poddanych, aby założyć Teby. Orze spiżowemi wołami, które zieją ogień, sieje zęby

---

i srebrzyste tuje, prążkowane blado-żółto, obok jadowitego pomarańczowca; tamaryszek — płowy, zielony, czerwony, którego gałęzie chwieją się i kołyszą, w powietrzu, podobne do drobnych alg morskich: krzak bawełniany, o kiściach sfruwających nieustannie i wirujących; wierzba otoczona wesołym rojem swych skrzydlatych nasion, szczęśliwie roztaczających nad sobą jak parasole szerokie cieliste namioty...

Pośród tych krzewów, na przyparku słonecznym, zawilce, jaskry, heuchery wychylały pstre głowy z trawników. A w miejscach zacienionych widniały dziwaczne skrytopłciowe mchy, usiane drobnemi białemi kwiatkami, liszaje podobne do skupień polipów lub gromad madrepor. Wszędzie rozlewał się przepych czarodziejski!

A wśród tych czarów królestwa roślinnego wznosiły się szafoty, krzyże do rozpięcia, pomalowane jaskrawo szubienice, czarne słupy z hakami, u których szczytu wyszczerzały się szyderczo okropne maski demonów. Dźwigały się wysokie słupy do prostego zaduszenia, nizkie szubienice i machiny do ćwiartowania. Naokoło kolumn i słupców tych narzędzi kary wiły się — pomysł iście djabelski! — puszyste powojce, daurskie wilce, lophospermy, kolokwinty i powojnice... Ptaki wyśpiewywały tam swe pieśni miłosne...

U podnóża jednej szubienicy, podobnej do kwiecistej kolumny tarasu, siedział kat, trzymając między nogami futerał z cienkiemi stalowemi narzędziami, które czyścił jedwabnym gałgankiem. Ubranie jego było pokryte plamami zakrzepłej krwi, a ręce jakoby ubrane w czerwone rękawiczki. Koło niego, jak koło padliny, brzęczały i wirowały roje much... Lecz pośród przepychu barw i zapachów nie było w tem nic wstrętnego i okropnego. Wyglądało to tak jak gdyby suknie jego osypał deszcz płatków z pobliskiej pigwy. Jego wielki brzuch nadawał mu wyraz spokojny i dobroduszny. Teraz, odpoczywając, miał twarz poczciwą, nawet jowialną. Była to jowialność chirurga, który przed chwilą dokonał trudnej operacji... Kiedyśmy przechodzili, podniósł na nas oczy i ukłonił się grzecznie.

Klara zwróciła się do niego po angielsku.

— Jaka to szkoda — rzekł poczciwiec — że nie przyszliście państwo wcześniej o jaką godzinę. Ujrzelibyście rzecz bardzo piękną — nie codzień widuje się coś podobnego. Zadano mi pracę nielada, milady! Pociąłem człowieka na sztuki, obdarłszy go poprzednio ze skóry... Bardzo kiepsko był zbudowany!.. Ha!.. ha!.. ha!..

Od śmiechu brzuch jego wzdymał się i kołysał, i słychać w nim było burczenie. Odruch nerwowy krzywił mu twarz — kąt ust zdzierał się ku kości policzkowej, sięgając niemal powiek, policzki zatonęły w tłustych fałdach. Ten grymas — a raczej przekrzywienie — nadał jego twarzy wyraz komicznego a złowrogiego okrucieństwa. Klara spytała:

— To jego zapewne przeniesiono na noszach, które spotkaliśmy przed chwilą?

smoka i wyrastają żołnierze, o których chodzi. Deukalion po potopie rzuca za siebie kamienie i jego żona również i tak stwarzają ludzi. Są to zresztą krewni, kuzyni Jowisza więc mają w sobie moc „istot“.

Z czasem świat się rozszerza, zjawiska rosną. Człowiek poczyna się pytać, kto zrobił całą ziemię, niebo, gwiazdy, wszechświat? Są to rzeczy ogromne. Żaden Jowisz ani Wotan, kłócący się ze swemi żonami, ciotkami i braćmi nie jest w stanie tego zrobić. Są za mali. Apollon mógł sobie powystrzelać Greków za to, że skrzywdzili jego ulubionego kapłana, który mu palił zawsze najtłustsze barany i największe żebra wołowe. Nocooka, blada jak księżyc, tajemnicza i płochliwa Selene nie była w stanie nawet w nocy wykąpać się spokojnie i zabezpieczyć swoich tajemnic półdziewiczych przed wzrokiem Akteona. Takie istoty nie mogły stworzyć wielkiego świata — kosmosu. Musiały zlecić z swoich piedestałów, iść do muzeów, opuścić Olimp, który stał się pustą, zwyczajną Łysą górą, musiały przez pewien czas grać rolę djabłów i czarownic.

Zjawiła się wyższa „istota“, która stworzyła morza, lądy i niebo, następnie świat niewidzialny, wchłonęła w siebię wszystkie tajemnice, sama stała się tajemnicą. Im bardziej świat rósł, tem ona stawała się większą, im bardziej był poznawanym, tem bardziej stawała się zawiłą i zagadkową. Dzieło, rosnąc w oczach ludzi, podnosiło domniemanego stwórcę. Do niej poczęły się zbiegać wszystkie przyczyny, wszystkie wątki spraw, niknąć w mrokach nieskończoności prapoczątków.

Pierwsza hipoteza tłumacząca powstanie człowieka — to teizm.

Hipoteza teistyczna po tysiącach i tysiącach lat służenia ludzkości dziś może być uważaną za ostatecznie pogrzebaną. W teorji, rzecz prosta. Bo w praktyce trzymać się ona będzie jeszcze długo, jako odpowiadająca pewnym poziomom umysłów i pewnym interesom. Teorja ta ma za dużo realnych posiadłości, które się przez tyle czasów na niej rozrosły, aby mogła być tak łatwo zlikwidowaną. Likwidacje interesów materjalnych odbywają się wolniej i trudniej, niż zmiana poglądów.

Ale teoretycznie, idea nadprzyrodzonej potęgi jako stworzyciela świata i człowieka, dziś już na poważnym, szczerym, zarówno filozoficznym, naukowym, jak i na gruncie praktycznego zdrowego rozsądku, ani na gruncie silnych, szczerych uczuć i prawdziwej wyobraźni utrzymać się nie jest w stanie.

O ile nie nastąpi nowy powrót do barbarzyństwa jest ona już raz na zawsze pogrzebana.

Tak się ma w ogólnych zarysach pierwsza hipoteza, odpowiadająca na pytanie, kto stworzył człowieka.

II.

Druga z kolei teorja starająca się odpowiedzieć na pytanie, kto stworzył człowieka, w ostatecznem, pełnem wyrobieniu i rozpowszechnieniu stanowi właściwie produkt nowych, a nawet najnowszych czasów— ostatniego ubiegłego stulecia. Teoretyczna robota nad nią w zasadzie została już zrobiona, rozpoczęło się rozpowszechnianie, propaganda, zaprzęganie teorji do rozmaitych celów — politycznych, etycznych, artystycznych, osobistych, nie zawsze mających z nią wiele wspólnego. Jednocześnie sama teorja zbliżyła się już do owego martwego punktu wszelkich teorji niewystarczających, kiedy to cofnięcie się jest już niemożliwe, natomiast praca na przyszłość podrywana jest niewiarą w powodzenie, trzymana w miejscu widmem przyszłego fałszu, rozczarowań, ruiny. Ci, którzy mogą, stają, zawieszają działalność w oczekiwaniu teorji nowej, lepszej lub rozpoczynają uboczną pracę nad jej poszukiwaniem. Ci, których życie w taki lub inny sposób zmusza do czynu, poczynają kręcić się w kółko, chwytają się oportunizmu lub anarchji. Brak silnego przekonania i brak wiary w przyszłość zastępują zaciętością, cynizmem, sztucznemi bodźcami, których lista jest dosyć znana i dosyć długa. Hipoteza, która dziś jest w stadjum gaśnięcia, przyświecała kul-

---

— A! — więc spotkaliście go państwo? — zawołał poczciwiec mile połechtany w swej próżności. No, i cóż na to powiecie?..

— Okropność!.. rzekła Klara spokojnie, głosem, który świadczył, że jej oburzenie i wstręt są udane.

Wtedy kat zaczął nam tłumaczyć:

— To marny kulis portowy... nic więcej, milady... Doprawdy, on nawet nie zasługuje na taką piękną robotę... Ukradł jak mi się zdaje, wór ryżu u anglików, naszych kochanych i dobrych przyjaciół anglików... Kiedym zdarł z niego skórę, tak że trzymała się jeszcze tylko na dwuch skrawkach u ramion zmusiłem go do chodzenia, milady... Ha!.. ha!.. ha!.. Niezły pomysł! Pęknąć można od śmiechu... Wyglądał, jakby miał na sobie... jakże wy to nazywacie? Aha — *mac-farlane?*... Nigdy nie był lepiej ubrany, ten pies, ani przez lepszego krawca. A kości miał tak twarde, żem wyszczerbił sobie o nie piłę... patrzcie państwo...

Białawy tłusty kawałek został między zębami piły. Pstyknął po nim paznokciem i strącił między kwiaty na klombie...

— To mózg, milady!.. rzekł wesoło... Niewiele go miał...

I kiwając głową, dodał:

Nie często zdarzają się tacy, co mają dużo mózgu... bo pracujemy prawie zawsze nad prostym ludem.

Potem ze spokojem zadowolenia ciągnął dalej:

Wczoraj, doprawdy, dokonałem ciekawej sztuki... Przerobiłem mężczyznę na kobietę... He!.. he!.. he!.. Można się było pomylić... Ja sam nawet pomyliłem się... Jutro... jeżeli duchy zechcą okazać mi łaskę, dostanę w swoje ręce kobietę i zrobię z niej mężczyznę... To będzie mniej łatwe! Ha!.. ha!..

Nowy wybuch śmiechu sprawił, że jego potrójny podbródek, fałdy na szyi i brzuch zakołysały się jak galareta. Czerwony łuk zmarszczki pobiegł od lewego kąta ust do prawego oka, poprzez nabrzmiałości i rowki, któremi popłynęły niteczki potu i pociekły łzy.

Włożył wyczyszczoną lśniącą piłę do futerału. Była to prześliczna skrzynka z laki. Widać było na niej dzikie gęsi, lecące w nocy nad stawem przy księżycu, srebrzącym lotosy i kosaćce.

W owej chwili szubienica rzuciła na kata poprzeczny cień fioletowy.

— Widzicie, milady, ciągnął dalej dobroduszny gaduła — rzemiosło nasze upada, na równi ze sztuką wyrabiania naszych pięknych naczyń, haftowanych jedwabiów i wyrobów z laki. Nie mamy już dziś pojęcia o kunszcie katowania. Usiłuję zachować prawdziwe tradycje, lecz spychają mnie z właściwej kolei na manowce... Sam nie jestem w stanie wstrzymać upadku... I co tu mówić?! Rekrutuje się teraz katów Bóg wie skąd... Niema ani egzaminów ani konkursów! O wyborze rozstrzyga wzgląd osobisty albo protekcja. I kogo wybierają! Wstyd! Ongi tę ważną czynność polecano prawdziwym uczonym, ludziom zasłużonym, znającym doskonale anatomję ciała ludzkiego... z dyplomami... doświadczonym... zdolnym!.. A teraz byle jaki

turze i życiu przez ostatnie czasy, idąc nad kolejami ludzkiej myśli podczas ostatnich kilku stuleci.

Krytyka teizmu — teorji, według których świat i człowiek stworzony jest przez jakieś bóstwo — nie może utrzymać się długo jako teorja pozytywna. Krytyka religji na gruncie samej religji, nie wyrzekająca się teorji, według których bóstwo jest naczelną siłą wszechświata — wydała Reformację — całe szeregi wyznań, na tem się skończyła. Wieki szesnasty, siedmnasty, ośmnasty — wieki racjonalizmu i oświecenia, postawiły hipotezę ateistyczną, zajmującą się głównie krytyką teizmu jako fałszywej teorji filozoficznej. Nie stawiając żadnego przypuszczenia pozytywnego co do przyczyny wszechrzeczy i głównego celu istnienia świata, zajmowała się wyłącznie krytyką poglądu teistycznego i związanych z nim form w teorji i w życiu. Typowym, kompletnym przedstawicielem tego sposobu myślenia był Voltaire. Nie miał on żadnej teorji, był raczej drwiną. Dla tego może jego utwory, których napisał tak wiele, są dla nas tak puste. To, przeciwko czemu walczył, już dawno zmieniło formę. Teizm od czasów Voltaire'a uległ ewolucji, zmienił się. Voltaire uderzał, jak wszyscy drwiący, w zewnętrzność, aby ośmieszać to, co najłatwiej rzuca się w oczy masom. Dla tego dziś jego strzały uderzają w puste naczynia, w przestrzeń lub w groby i dla tego nie wywołują śmiechu tak jak wtedy, kiedy owa zewnętrzność żyła, miała siłę, prowadziła świat, decydowała o losach rzeczy i ludzi.

Obok ateizmu formowały się elementy nowego, *pozytywnego* poglądu na sprawę przyczyny wszechrzeczy, zjawiały się pierwiastki nowej hipotezy, starającej się między innemi odpowiedzieć na główne pytanie, komu zawdzięcza człowiek swoją postać, swoje istnienie i... swoje bóle.

Poczęto badać przyrodę i stwarzać współczesną naukę. Obok pobijanego, walczącego o swe istnienie teizmu, obok błyskotliwego, kulturalnego, dowcipnego, ściągającego powszechną uwagę ateizmu, dystyluje się tęga pierwiastkowa esencja poznawania Natury. Zjawiają się prawdy, prawa, wykrywają się fakty, nowe zjawiska. Powstaje nowoczesna matematyka, mechanika, fizyka, chemja, biologja, psychologja, patologja, wreszcie nauki społeczne i ekonomiczne. Rosną i wiążą się z odgrzebywaniem z ruin klasycznej Grecji poglądami starych jońskich filozofów, rosną i wreszcie, w ciągu dziewiętnastego wieku urastają w wielką potęgę. Drogą praktycznych odkryć i wynalazków zmieniają zupełnie postać realnego życia, pokrywają siecią szkół i uczelni świat tak, jak sieciami dróg żelaznych, telegrafów, masą fabryk, kopalni, rozrosłych miast współczesnych. Kultura rolna wzmaga się. Lecznictwo, pedagogja stają na świeżych, pewniejszych gruntach. Pożytek nowych prawd, odkryć jest tak oczywisty, tak przekonywający. Nie ma jeszcze stworzonych przez nowoczesność świeżych bied socjalnych.

Na tle tak potężniejącej budowy rozpoczyna pracę nowa, świetna filozofja, która buduje nową, pozytywną teorję, tłumaczącą sprawę powstania świata i człowieka. Według tej nowej teorji człowieka stworzyły *Siły Natury*. Natura taka, jak się ona przedstawiała współczesnej nauce — w postaci praw i zjawisk ścisłych. Ona wydała i urobiła wszechświat, ziemię (teorje kosmogoniczne), rządzi niemi (prawa mechaniki), ona wydała człowieka, jego władze, jego dzieła, jego formy życia, urobiła jego życie społeczne (teorje biologicznej, psychologicznej, socjalnej ewolucji).

Jest to druga z kolei teorja: człowiek (i wszystko) został stworzony przez Naturę (pojęcie starsze) ev. pierwiastki i energje Natury, według swych praw działające (pojęcie nowsze).

Natura ta, mianowicie, początkowo ma jeszcze pewne pokrewieństwo z bóstwem (u entuzjastów Natury, u panteistów, wreszcie w sztuce i poezji). Stopniowo wyłaniają się z niej wraz z rozwojem nauk ścisłych, naprzód siły i pierwiastki (ev. żywioły) a następnie pierwiastki nowoczesne: chemiczne i fizyczne (atomy, molekuły) dynamiczne (energje), biologiczne (komórki, micele) psychologiczne, wreszcie społeczne (indywiduum, pierwiastki społeczne).

Pogląd ten, że wszystko wraz z ludzkością jest wytworem sił Natury, w przebłyskach należy do bar-

---

szewc ubiega się o nasze honorowe i trudne stanowisko!.. Ani hierarchji, ani tradycji! Wszystko się rozpada. Żyjemy w epoce rozprzężenia... Dziś w Chinach milady, poczyna coś gnić...

Westchnął głęboko i wskazując na swe ręce całe we krwi i na futerał połyskujący w trawie mówił:

A jednak pracuję sumiennie, jak mogliście się państwo przekonać, aby utrzymać nasze zachwiane dostojeństwo... Jestem starym zachowawcą... nieprzejednanym nacjonalistą... i żywię wstręt niepokonany do wszelkich praktyk i nowatorstw, jakie pod pretekstem cywilizacji przynoszą nam europejczycy, a zwłaszcza anglicy... Nie chcę oczerniać anglików, milady... To dzielni i godni ludzie... Lecz trzeba przyznać, że wywarli na nasze obyczaje wpływ ujemny. Codziennie zacierają oni odrębność chińskiego charakteru... Weźmy choć sprawę torturowania... I na tem polu, milady, uczynili nam oni wiele krzywdy... tak, wiele krzywdy... A szkoda!..

— No, przecie na torturach anglicy się znają — przerwała Klara. Zarzut kata zadrasnął jej narodową miłość własną. Chciała być surową dla swych rodaków, których nienawidziła, lecz pragnęła, by inni mieli szacunek dla nich.

Kat wzruszył ramionami. Twarz mu znowu zadrgała nerwowym skurczem i przybrała wyraz niewypowiedzianie komicznej pychy. Pomimo odrazy ledwie że mogliśmy się powstrzymać od wybuchu śmiechu, zanim oświadczył nam stanowczo:

— Nie, milady, anglicy wcale nie znają się na torturach. Pod tym względem, są to ludzie zupełnie dzicy i nieucy. Spójrzmy na Indje — jakże tam oni poczynają sobie po grubiańsku i nieartystycznie! I jak głupio — tak właśnie głupio — rozsiewają śmierć naokół!

Złożył zakrwawione ręce jak do modlitwy, podniósł oczy ku niebu i mówił głosem, w którym łkał żal głęboki:

— Kiedy się pomyśli, milady, ile zadziwiających rzeczy mogli oni dokonać, a nie dokonali niczego i niczego nie dokonają! To nie do darowania!

— No, dajmy na to! — zaprotestowała Klara. Sam pan nie wiesz co mówisz.

— Niech mnie złe duchy opętają, jeżeli kłamię! — zawołał dobroduszny grubas.

I zaczął mówić wolno, gestykulując, jak człowiek, który chce innych pouczyć:

W dziedzinie tortur anglicy nie są artystami. Zresztą, i w innych dziedzinach brak im artyzmu. Może im milady przypisywać wszelkie inne zalety, lecz tego nie — o, nie!

— A jednak cała niemal ludzkość lała łzy przez nich!

— To źle, milady, bardzo źle... dowodził kat... Sztuka nie polega na tem, żeby zabijać, rznąć, wycinać w pień, niszczyć masami... To rzecz bardzo łatwa. Sztuką jest umieć zabić, umieć dokonać morderstwa według wskazań piękna, którego boską tajemnicę my

dzo starych. Spotyka się w najstarszych dokumentach myśli ludzkiej nad brzegami Jam'i, w Egipcie etc. Tkwi on we wszystkich teorjach panteistycznych, gdzie Bóg i Natura albo zostają złączone w jedno albo też podstawione jedno zamiast drugiego. Np. panteizm grecki jest kultem sił natury, podwyższeniem ich do godności bogów, a zapewne zlaniem się starszego czysto teistycznego poglądu na świat czcicieli Zewsa dodońskiego z poglądami nowszych naturalistów z Archipelagu.

Nowoczesny panteizm takich jak Goethe i całej plejady pokrewnych mu duchów jest również kombinacją artystycznego teizmu z nowoczesnemi poglądami naturalistów. *Forma* (już nie istota) wielkiego Boga z Apokalipsy połączyła się z Naturą. Natura, ze skromnej roli twórczyni ciekawych zjawisk, w miarę tego jak liczba ich rośnie, jak powiększa się liczba słusznych teorji naukowych, potężnieje. Dzieje się to samo co z teizmem. Natura już nie jest koboldem, Dryadą, Pukiem, produkującą metale, sączącą źródła, ukrywającą się na polach, lasach, w kielichach kwiatów, drobnym towarzyszem człowieka. Poczyna obejmować ziemię potężne zjawiska, wszechświat, odbierając je z rąk bóstw, które tracą równocześnie znaczenie i siłę. Wreszcie pod wpływem poezji i sztuki poczyna rosnąć jej blask i aureola. Natura staje się olbrzymią, wielką cudowną — taką, jaką ona przedstawiała się w entuzjastycznych, pięknych wyobraźniach ludzi takich, jak tambold Goethe, jak panteiści klasyczni w rodzaju Ovidyusza, jak pejzażyści w rodzaju Turnera. Błyszczy ona wszystkiemi blaskami słońc, nieba, gór, zmiennością i bogactwem, potężna ogromem.

Wreszcie, w końcu, w miarę poznawania Natury, przybywa jej Tajemnica. W końcu. w najnowszych czasach groza i cienie. Natura robi się Naturą podobną do Boga z Apokalipsy. Jest nie tylko wielką, mądrą przez swe prawa, wspaniałą, ale groźną, jest nie tylko źródłem sił, ale bólów i nieszczęść, nie tylko prawdą, ale nosicielką fałszu, nie tylko źródłem mądrości, ale kataklizmów, zawikłań. Oblicze Natury staje się ciemne w oczach wielu ludzi, traci blask Białego Boga i nabiera cieniów czarnobóstwa. Całe dziły poezji, sztuki, filozofji poczynają przesiąkać owo cienie, ciężkie i beznadziejne, które wypływają z gasnącej w oczach ludzi, niegdyś jasnej słonecznej, pięknej, dobroczynnej Natury — takiej, jaką ona przedstawia się w cudownych Przemianach Ovidyusza. Wszędzie owa Natura, jej siły, czy to jako żywioł (ziemia, rola, niebo, morze, wiatry) czy to jako pierwiastek naczelny w ludziach czy w społeczeństwie wszędzie poczyna się ona przedstawiać jako stepy, nieubłagane, bezcelowe Fatum, tworzące wszystko i pędzące człowieka i ziemię gdzieś w przestrzeń bez sensu i celu.

I rozpoczyna się krytyka Natury i naturalizmu.

O krytyce ich ze strony teistów nie warto wiele dziś mówić. Zapisali oni dużo papieru. Jest to reakcja z jej znanemi objawami. Krytyka ze strony teizmu jest naturalną i zrozumiałą w swoich motywach, u których nietyle chodzi o racje ile o zwycięstwo. Krytyka to stronna, niebezinteresowna. Zestawiają oni tendecyjnie dwa pojęcia — Bóg i Natura — Sąd swój przechylając na stronę pierwszego. Według nich Bóg jest wszechżywym, wszechmądrym, wszechlitościwym etc. Natura natomiast — nic nie rozróżnia, dobrego od złego, dla niej wszystko jedno, w jakim kierunku tworzyć czy rozwijać, w kierunku cnoty czy występku, piękna czy brzydoty, szczęścia czy bólu. W rozwoju i degeneracji, w radości i chorobie, w urodzeniu i śmierci ma ona jedną i tę samą zależność, ścisłość praw obojętnych na dolę i niedolę nie tylko ludzką, ale nawet na samą siebię. Natura, a raczej poglądy naturalistów czynią ludzi zwierzętami. Teorje ich nie wykreślają żadnego celu, nie stawiają żadnych postulatów etycznych w życiu.

Teiści, szczególniej bardziej w teizmie zainteresowani, jak kler, cały stan kapłański, wszyscy ci, którzy swe prawa, przywileje społeczne, polityczne, mają na teizmie oparte lub chcą je na nim oprzeć, są stronni. Odzierają oni naturalizm z jego pierwiastków najszlachetniejszych, najczystszych, najwyższych,

---

tylko znamy, my chińczycy! Umieć zabijać! Jest to zaprawdę najrzadsza umiejętność, a mieści się w niej wszystko! Umieć zabijać!.. To znaczy pracować tak w ciele ludzkiem, jak rzeźbiarz pracuje w glinie lub kości słoniowej.., umieć wydrzeć temu ciału ukryty w najgłębszej otchłani cud i misterjum cierpienia. Tak to! Tu potrzeba wiedzy, pomysłowości, smaku, natchnienia... słowem talentu. Ale teraz wszystko to zanika. Zalewa nas snobizm zachodu... pancerniki, działa szybkostrzelne, broń dalekonośna, elektryczność, materjały wybuchowe... czy ja wiem wreszcie... wszystko co zadaje śmierć zbiorowo, administracyjnie i biurokratycznie... słowem wszelkiego rodzaju plugastwa waszej kultury... niszczą zwolna nasze piękne tradycje przeszłości. Tu tylko w tym ogrodzie zachowały się one jeszcze jako tako.. staramy się przynajmniej zachować je jako tako... Ale jakże to trudno, ileż przeszkód... jak trzeba nieustannie walczyć! Niestety! czuję, że to nie będzie trwać długo... Pospolitość zwycięża nas na każdym kroku... płaskość tryumfuje wszędzie!

Twarz jego przybrała wyraz melancholji i zadumy, a gesty zdradzały głębokie przygnębienie.

— A jednak, milady, ja, który mówię z wami, z pewnością nie jestem pierwszy lepszy. Mogę być dumny z tego, że całe życie pracowałem bezinteresownie dla chwały naszego wielkiego imperjum. Byłem zawsze — i pod wielu względami — pierwszy na konkursach torturowania. Śmiem zapewnić, że wynalazłem rzeczy doprawdy niezwykłe, godne podziwu męczarnie, które w inne czasy i przy innej dynastji dałyby mi majątek i nieśmiertelność. A obecnie niemal że nie zwracają na mnie uwagi. Nie rozumieją mnie i mówiąc otwarcie: pogardzają mną. Ale czegoż można się spodziewać dziś, kiedy talent ma się za nic... kiedy odmawia mu się wszelkiego znaczenia! Doprawdy! można dziś upaść na duchu. Biedne Chiny, niegdyś tak artystyczne, tak wielkie i sławne! Ach, trwoga mnie ogarnia na myśl, że może już przyszedł czas, aby zawładnęli nami inni!

Ponurym, pełnym uniesienia gestem zwrócił się do Klary, jakoby biorąc ją na świadka upadku Chin. Twarz jego wykrzywiła się potwornym skurczem.

— Widzicie, milady! Jest od czego wpaść w rozpacz!.. A przecie to ja wynalazłem męczarnię ze szczurem... Niech złe duchy stoczą mi wątrobę i ukręcą jądra, jeżeli to nieprawda. Przysięgam wam, milady, że to nadzwyczajna męczarnia... Rzecz oryginalna, malownicza... A przytem jaka znajomość psychologji, jaka umiejętność wywołania bólu! A prócz tego — rzecz nieskończenie śmieszna... Natchnęła mnie ta stara chińska wesołość, o której już dzisiaj całkiem zapomniano! Mój wymysł mógłby być dla wszystkich podnietą do żartowania, mógłby ożywić rozmowy, którym dziś brakuje werwy! A jednak nie wprowadzono go albo raczej, nie chciano, odrzucono... pomimo to, że trzy doświadczenia, dokonane przed sędziami, miały kolosalne powodzenie.

Widząc, że jego wynurzenia nie podobają się nam,

sprowadzają Naturę do rzędu zupełnie tępej, bezmyślnej materji, natomiast tendencyjnie przedstawiają religję, teizm ze strony najlepszej. Przeciwstawiając Naturze Boga takim, jakim on jest w idei Chrystusa, w widzeniu Ś-go Jana, w najlepszych utworach teistycznych, wygrywają naturalnie bardzo łatwo, walcząc z przeciwnikiem słabym, ale przez nich samych stworzonym. U uczonych takich jak np. Newton, Pascal — podkreślają ich teizm w pracach podrzędniejszych, które nigdy nie uczyniłyby ich tem, czem są w historji, starając się w ten sposób odebrać ich naturalizmowi.

Było by to niczem, gdyby teorja naturalistyczna miała mocniejsze podstawy i większą odporność na złe objawy. Niestety jak każda idea, naturalizm, wszedłszy w szerokie życie między ludzi, wydał rezultaty ujemne. Stał on się grubym materjalizmem w interesach, cynizmem w etyce, pornografją w erotyce, panowaniem brutalizmu w polityce etc. etc. Tak jak i w teizmie wylazły i w naturalizmie zwykłe wady ludzkie. Poczęli go dyskredytować kiepscy wyznawcy, apologeci i obrońcy, prawiąc na jego konto filozoficzne duby smalone dyskredytując swoją Naturę tak, jak teiści dyskredytowali swego Boga. Zdyskredytował ją wolnomyślny aptekarz, pan Homeau, uważając się za... przyrodnika uczonego, zdyskredytowali go ci, co uważali tak zwanego ducha za produkt tkanek mózgu, za pewnego rodzaju wydzielinę jak śluz, ślina, żółć., Wszystko jest HO, HO, HO! wołano w naiwnej rozpaczy, czerpiąc „naukowe" podstawy do swoich teorji filozoficznych w popularnych (?) podręcznikach chemji, fizyki. Ducha nie ma, nigdzie nie ma go w naturze, jest tylko H,O,N i t. d.! Jest materja, siła, energja — i nic więcej. Natura przedstawiała się w ich własnych oczach nie jako słoneczna, pełna zjawisk życia Natura Humboltów, Owidyuszów, Lineuszów etc. lecz jako ślepe ciemne utwory Odillon-Redonow. Zdyskredytowali ją ci, którzy z teorji, że dobrobyt materjalny jest jedną z głównych podstaw bytu i szczęścia jednostek i narodów, zakładali fabryki, warsztaty, robili wynalazki, eksplotując niszcząc i unieszczęśliwiając ... ludzi.

Można tę listę ciągnąć jeszcze długo, przy czem przed oczyma przesunął by się obraz całej drugiej połowy wieku dziewiętnastego do dziś włącznie.

Te błędy znacznie ułatwiły drogę teistycznej reakcji. Zjawiły się i zjawiają masy ludzi, którzy odwracają się od naturalistycznych teorji i powracają do odnowionego, oczyszczonego teizmu. Bóg — zjawia się w ustach, pod piórem wielu dziś ludzi, którzy jeszcze niedawno pisali go przez małe *b*. Zepsucie się naturalizmu, odświeżenie teizmu i brak innych wyraźnych poglądów na sprawę ustroju świata wywołały u ludzi słabszych powrót do zarzuconego już i ostatecznie za fałszywy uznanego teizmu. Człowiek z dwojga złego wybiera mniejsze, z dwojga dobrego to, co mu się wydaje lepszem. (*D. c. n.*)

F. Jabłczyński.

E C H A.

ZWIERZENIA DZIENNIKARSKIE.

Prasa — codzienna prasa warszawska — składa nieustannie dowody, że stoi na wysokości zadania — to jest w zupełności nie dorosła do potrzeb swego czytelnika. Pruderja moralna, oportunizm społeczny, a bardzo często najzwyklejsza korupcja, czy też łapownictwo, kładą na usta prasy naszej knebel uroczystego milczenia i przemilczania o sprawach najżywotniejszych. Stąd tak często szukamy napróżno choćby drobnej wzmianki informacyjnej o jakiejś pierwszorzędnej kwestji dla ogółu.

Tak np. w tych dniach odprawiono w kaplicach marjawickich pierwszą mszę w języku polskim. I oto większość codziennych pism warszawskich nie wspomniała o tem choćby słówkiem, jakby w nadziei, że może uda się jej ocalić swych czytelników od poinformowania o sprawie bądź co bądź, bez względu na kierunek pisma, nader ciekawej.

A oto inny przykład zaczerpnięty z innej dziedziny aktualnego życia Warszawy. W sferach finan-

---

że przyjmujemy je raczej z odrazą, stary rakarz powtórzył kilkakrotnie z naciskiem:

Kolosalne!.. kolosalne!..

— Cóż to za męczarnia ze szczurem? — zapytała Klara. Jak to być może, że wcale o niej nie słyszałam.?

— Arcydzieło, milady, szczyt doskonałości! — twierdził grubas donośnym głosem, układając się wygodniej na trawie.

— Dobrze. Na czem więc polega ta męczarnia?

— Arcydzieło, zapewniam was... Otóż, widzicie, milady, nie znacie wcale tej tortury, nikt jej nie zna! Jaka szkoda! I jakże nie mam się czuć pkrzywdzonym?...

— Czy możecie ją nam opisać?...

— Czy mogę... Ależ rozumie się, mogę... Wyłożę wam rzecz całą, a osądzicie sami... Uważajcie tylko...

I począł mówić, zakreślając w powietrzu rozmaite figury:

— Bierze się skazanego, czarująca milady, skazanego, lub wogóle człowieka, — bo aby się moja tortura udała nie jest wcale rzeczą konieczną, aby torturowany był skazańcem — bierze się człowieka, o ile można młodego, silnego, o jędrnych tęgich mięśniach... w imię zasady, że im więcej siły, tem uporczywsza walka, a im uporczywsza walka tem więcej bólu i cierpienia... Doskonale... a kiedy już jest nagi... nieprawdaż, milady? — stawia się go na kolana, kark zgina do ziemi i w takiej pozycji przymocowuje się łańcuchami przylutowanemi do pierścieni, które ściskają mu szyję, ręce, przeguby u kolan i kostki u nóg... Doskonale! Nie wiem, czy dobrze mnie państwo rozumiecie? Potem bierze się doniczkę do kwiatów, milady, wielką doniczkę z maleńką dziurką we dnie i wpuszcza się do niej wielkiego szczura, którego trzeba ze dwa dni pomorzyć głodem, aby go rozwścieklić... I oto tę doniczkę ze szczurem przykłada się szczelnie, jak ogromną bańkę, do pośladków skazanego i tęgiemi rzemieniami, przymocowanemi do pasa, który otacza mu lędźwie, wciska się ją w ciało... Ach! ach! Jest na co patrzeć!

Spojrzał na nas chytrze kątem oka z pod przymrużonych powiek, aby czuć wrażenie swych słów...

— A potem? — rzekła Klara obojętnie.

— A potem, milady, w otwórek we dnie doniczki wprowadza się... no, proszę zgadnąć co?

— Jakże ja mogę zgadnąć?

Grubas potarł sobie ręce, uśmiechnął się straszliwie i ciągnął dalej:

— Wprowadza się pręt żelazny, rozgrzany do czerwoności w żarowni... w przenośnej żarowni, jak ta, co stoi obok... A kiedy pręt wprowadzony, cóż się dzieje? Ah! ah! ah! Czy może sobie milady wyobrazić, co się wtedy dzieje?..

(*C. d. n.*)

sowych głośno opowiadają o nadużyciach, ujawnionych w pewnej instytucji kredytowej. Podobno kwota wynosi około 28,000 rubli. Prasa codzienna — tak żądna zawsze wiadomości o wszelkiego rodzaju bandytyzmach i kradzieżach, wie dobrze i o defraudacji powyższej. Nietylko wie, lecz posiada wszelkie szczegóły. I oto dnia pewnego w gabinecie redaktora tak zwanego pisma poważnego zjawia się poważny dżentelmen, przypuśćmy prezes rzeczonej instytucji i przemawia w sposób mniej więcej następujący:

„Defraudację popełnił mój siostrzan. Bardzobym pragnął, aby tej sprawy nie rozmazywano. Gałgan i łajdak z tego chłopaka, ale zawsze to moja krew. Zresztą nasza instytucja jest tak zasobna, że i tę stratę przetrzyma z małym uszczerbkiem dla akcjonarjuszów... Pocóż, pytam, dla takiej bagatelki szkodzić powadze i interesom polskiej instytucji".

Redaktor jest najzupełniej przekonany. Argument polskości przekonywa go najzupełniej. Zresztą może przyjść taka chwila, gdy poważna instytucja poratuje go kredytem. Aby dalej, byle handel szedł.

Prezes z uśmiechem zadowolenia opuszcza asylum opiekuna opinji publicznej. Wie, że z młodszą bracią dziennikarską nie będzie miał zbyt wiele kłopotów. W przeciwieństwie do swych zagranicznych kolegów, reporter warszawski choć go i tytułuje się protekcjonalnie drogim panem, nie jest zbyt drogim...

Cóż więc dziwnego, że kierownikowi instytucji finansowej w chwilach dobrego humoru przychodzi nieraz na myśl popularne określenie, tak popularne, iż stało się już komunałem:

— Prasie płaci się nie za to, aby pisała, lecz za to, aby nie pisała... Dobrze, że to nie kosztuje za dużo...

Nie dziw też, że mgła przyjacielskiego milczenia tak często osnuwa marniejące dobro publiczne, rzucany na wiatr na łup wydrwigroszów i synekurzystów pieniądz obywatelski...

Zresztą, bywa i odwrotnie... Czasami płaci się prasie właśnie za to, aby pisała. I znów przytoczę fakt z ostatniej niemal godziny.

Też same pisma, które tak skwapliwie zamilczały o pierwszej mszy w języku polskim nie omieszkały zawiadomić społeczeństwa, iż ksiądz Pogorzelski z Bielan dokonał poświęcenia nowootwartego tingel-tanglu...

Nie jest to zresztą fakt jedyny. Swoją drogą ten udział duchownego w tego rodzaju aferze jest więcej niż znamienny. Bo czemże właściwie są tak zwane szumnie „cabarety" warszawskie, jeżeli nie filją domów publicznych. Cóż dziwnego więc, że właściciele przybytków rozkoszy z ulicy Towarowej czuliby się słusznie pokrzywdzeni, gdyby im odmówiono poświęcenia. Jakże, taka reklama! Dlaczegóż ulica Towarowa nie może być równouprawnioną z Chmielną lub Nowym Światem.

Dlaczegóż uginające się w gabinetach modnej restauracji otomany mogą być poświęcone, podczas gdy łóżkom samogrającym w lupanarach odmawia się tego zaszczytu.

Kto wie, może to nawet sprowadzić niebłogosławieństwo boże na czem oczywiście straci kieszeń przedsiębiorcy.

Ciekawa jednak rzecz, czy ksiądz poświęcający wesoły przybytek, z równą gorliwością pośpieszyłby oddać ostatnią posługę nędzarzowi, który nie zostawił po sobie na świecie nic, prócz nędzy.

Asper.

Z GRZĘZAWISKA PEDECJI.

Jak dalece niebezpieczną jest droga po bagniskach „oświeconej inteligencji" dowodzi żywy przykład w osobie jednego z filarów „Nowej Gazety", p. Leona Goreckiego. Zdolny, utalentowany, osuwał się on powoli ze szczytów idei i brnął coraz głębiej wślad za temi, co „zaginęli w błotach i nie doszli do morza w kroplach rosy i deszczu".

Zaczęło się, jak zwykle, od przykrawania swoich myśli na miarę upodobań naczelnego organu „oświeconej inteligencji". Dopóki jednak chodziło jedynie i wyłącznie o walkę z tak notoryczną reakcją, jak endecja, niebezpieczeństwo nie było zbyt wielkie. Wprawdzie zdarzało się od czasu do czasu wygłaszać w odmiennej formie słowa i myśli nieprzyjaciela ideowego, ale i to uch dziło. bo zawsze się endecję zwalczało. a jak — to czy nie wszystko jedno? Wprawdzie była to walka jedynie formalna: nie chodziło o to, co powiedzieć, ale jak powiedzieć; i skończyło się na tem, że pięknego poranku, po mowie posła Żukowskiego w drugiej dumie, organ naczelny „oświeconej inteligencji" stwierdził, iż niema już nic do zarzucenia naszemu przedstawicielstwu; a wślad za nim Gorecki wyraził swoje najwyższe zadowolenie, jako, że „tegośmy od was żądali i tak należało mówić od samego początku". Chodziło bowiem zawsze nie o to, co mówić, ale: jak mówić — gdy forma przypadła do gustu pedecji, nie pozostawało nic do życzenia. Wreszcie zmieniły się „warunki objektywne" i przytępiły ostrze sporu; kwestja, kto lepiej powie, upadła wobec tego, że mając usta zakneblowane, nikt nic powiedzieć nie może. Czy endecja istnieć przestała i działać? Oczywiście, że pozbawiona terenu działalności w Petersburgu nie przestała ona bynajmniej być w kraju czynną reakcją i bardziej niż kiedykolwiek, bo korzystając z ogólnej apatji i bezsiły żywiołów wolnościowych, podkopuje się pod wszystkie placówki pracy społecznej. Ale otrzymała ona tyle ciosów skądinąd, że szanujący się organ pedecji, nie chcąc się narażać na odpowiedź, iż odgrywa rolę osławionego osła, pohamował swe kopyto. P. Gorecki, który zdążył już zatracić własny sąd, — zamilkł.

Czyż jednak należało wobec tego, że nie ma się nic pozytywnego do powiedzenia, złamać pióro? Rozejrzawszy się w sytuacji, p. Gorecki zauważył jeszcze jednego lwa, złożonego w niemocy, zupełnie pozbawionego pazurów i z gorliwością godną lepszej sprawy rzucił się na niego. Zadanie było proste: w każdym wielkim ruchu społecznym, zwłaszcza tak rozgałęzionym jak ruch proletarjatu, nietrudno znaleźć jednostki a nawet grupy fanatyczne, nietolerancyjne ba, nawet histeryczne; otóż p. Gorecki postanowił je wszystkie zebrać do kupy, dodać dla większego efektu i indywidualistycznych anarchistów, wytarzać ich w błocie, opluć, zaopatrzyć w mar ę „naszych nieprzejednanych" i w tak niesympatycznej postaci zaprezentować na łamach »Nowej Gazety« ku uciesze prenumerującej ją finansiery żydowskiej. Zaiste wdzięczne zadanie i tem łatwiejsze, że „objektywne warunki" zapewniają milczenie z drugiej strony.

Kto chciałby przeszczepić na nasz grunt idee syndykalistów francuskich, doczekałby się niebawem straszliwych ekscesów i niema człowieka, któryby nam wskazywał za przykład ich niecierpliwość, bowiem

najwyższą cnotą wskazaną przez nasze warunki jest właśnie: cierpliwość. Gorecki zaś imputując „naszym nieprzejednanym“ właściwości i idee syndykalistów ośmiesza ich wprawdzie w oczach czytelników »N. G.«, ale zarazem wykazuje pewną niepoczytalność i pewną, powiedzmy, obojętność wobec wymagań etyki pisarskiej.

Ale niema tygodnia, aby nie wygrzebał jakiego nowego zagranicznego dowodu „histeryczności naszych nieprzejednanych“, jakgdyby (jeżeli już o to chodzi) w życiu społecznem zagranicy brakło innych objawów ujemnych, jakgdyby „nieprzejednani“ zagraniczni już niczem innem się nie odznaczali. Zresztą gdy chodzi o fakt dodatni, to udział w nim nieprzejednanych potafi p. Gorecki pominąć milczeniem. Gdy Busolatti wniósł projekt prawa o nauczaniu świeckiem we Włoszech, który nb. został odrzucony przez większość mieszczańską izby, to według p G. wniósł go, niewiadomo kto, a izba przyjęła. Podobnież nie słyszał on nigdy (a przynajmniej nie podzielił się z nikim) o faktach takich, jak wystąpienia Jaurèsa w sprawie postępowego podatku, w sprawie Marocco, Zoli, jak zdemaskowanie Nasiego, jak walka o prawo wyborcze w Prusiech i na Węgrzech, jak walka przeciw paragrafowi 7, jak walka z drożyzną w Austryi, jak tysiące praw przedłożonych i przeprowadzonych w parlamentach wszystkich krajów. O tem się nie pisze, bo są to rzeczy wielkie, a p. Gorecki wziął na się zadanie publikowania rzeczy śmiesznych...

Ach naprawdę — powiedzmy słowy Branda — wryliście się głęboko w błoto!

M. A.

SŁOWA A CZYNY.

Głośną sprawą jest zdemakowanie posła Dumy Czełyszewa, który w Dumie walczył z alkoholizmem, a w domu uprawiał potajemny wyszynk wódki w łaźni zamienionej na dom rozpusty.

Czełyszewa zdemaskowano; szkoda, że nikt nie demaskuje naszych domorosłych katonów.

Weźmy choćby nasze t. zw. dzienniki „postępowe“; na jednej stronie potępiają ucisk narodowościowy, a na drugiej uprawiają najbezwstydniejsze szczucie przeciwko rusinom; na jednej stronie biadają z powodu upadku zamiłowania do sztuki, z powodu pustek w teatrach, na drugiej zaś najbezczelniej napędzają publiczność do kinematografów (gwoli ogłoszeń); w artykułach wstępnych oburzają się na wyzysk pracy przez kapitał, a same wyzyskują swoich pracowników korzystając z tego, że lumpenproletarjat dziennikarski nie zdolny do organizacji i solidarnego wystąpienia — bez oporu wyzyskiwać się daje.

Lekarze! uleczcie samych siebie!

„SAMOPOMOC“ PRZEMYSŁOWA.

Jeżeli ktokolwiek mógł się łudzić, że hasło bojkotu towarów niemieckinh przyoblecze się w kształty realne, to odbyte d. 11 b. m. posiedzenie wyborcze „Koła samopomocy przemysłowo-handlowej przy Tow. Popierania przemysłu“ — rozwiało te złudzenia w zupełności: na 64 członków koła przybyło na zebranie 26, a i ci ujawnili tak mało zainteresowania sprawą, tak byli nieprzygotowani do jakiejkolwiek dyskusji, że gdyby nie inż. Świda (przedstawiciel innej odmiany hasła bojkotu niemczyzny — biura informacyjnego o środkach wytwórczości przy Stow. Techników), trzeba by było zamknąć dyskusję i zakończyć zebranie po obiorze przewodniczącego.

Jeden więc człowiek podtrzymywał obrady, które zresztą obracały się w sferze ogólników, gdyż ani.. Koło samopomocy przemysłowo-handlowej ani biuro informacyjne o źródłach wytwórczości — nic dotąd nie zrobiło.

Oto są skutki przystępowania do akcji społecznej w imię frazesów partjotycznych, a nie w imię naturalnego interesu warstw ludowych.

W IMIĘ KRZYŻA!

P. Czesław Wrocki napisał pod powyższym nagłówkiem „krótki rys dziejów inkwizycji powszechnej“.

Kościół dzisiejszy wypiera się solennie wszelkiej wspólności z działalnością owej potwornej „czarnej seciny“ jak pan Wrocki nazywa „świętą inkwizycję. Kościół twierdzi że wprawdzie był to sąd(!) z osób stanu duchownego złożony, ale ustanowiony przez władców świeckich i im tylko podległy. Oczywiście chodzi o zrzucenie z siebie krwawego piętna, które zasłoniło światłu dostęp do Europy Zachodniej od wieku XII aż do XIX.

Tymczasem historja wydała już od dawna w tej sprawie swój niewzruszony wyrok.

Pierwszy formalny trybunał inkwizycyjny ustanowił papież Innocenty III, który polecił w r. 1204 trzem swoim legatom wytępić sektę Albigensów

Ci trzej mnisi zebrali coś w rodzaju krucjaty przeciwko albigensom w liczbie 100,000 ludzi. Tej zgrai, która rabowała mienie, zabijała starców i gwałciła kobiety, papież udzielił zupełnego odpustu. To też krew lała się rzeką i „heretyków“ zabijano dziesiątkami tysięcy.

Co wyprawiała ta banda, dowodzi los miast Beziers. Jej wódz opat Arnold tak o tem do papieża pisze: „Nie oszczędzaliśmy żadnego stanu, ani płci, ani wieku (!). Dwadzieścia tysięcy głów padło pod ostrzami naszych mieczów. Zrabowaliśmy i spalili całe miasto. Dziwnie rozwścieklił nas ten sąd boski“.

Rozkwit trybunałów inkwizytorskich przypada na wiek XIV; zbytecznem było by dodawać, że stawiano przed niemi przeważnie bogatych inowierców, na których majątki łakomie patrzał rząd świecki lub kler. Procedura inkwizycyjna była krótka; od donosiciela dowodów prawdy nie żądano i oskarżony najpierw poddawany był torturom, a potem palony na stosie.

Wraz z żywemi palone bywały przy każdem takiem „*Auto-da-fe*“ trupy, nieraz przed kilku dziesiątkami lat zmarłych ludzi, grobom wydarte, którym już po śmierci herezję udowodniono. Majątki ich również ulegały konfiskacie, a domy zburzeniu; a wreszcie spaleniu ulegały też wizerunki heretyków zbiegłych lub w kraju nieobecnych.

O taktyce sędziów sądzić można z tego, że w dziele inkwizytora Tomasza Carney, p. t. „*Tractatus de Officio sanctissimae Inquisitionis*“, znajdujemy taki ustęp: „W rzadkich tylko wypadkach można się powodować skruchą kacerza, zwłaszcza, gdy został już władzy świeckiej oddany. Nawrócenie

bowiem wypływa wówczas nie z serca, ale z trwogi lub bólu spowodowanego ogniem na stosie. Zatwardziałych należy z a w s z e oddawać sądowi świeckiemu, ażeby zostali żywcem spaleni.

O sprawiedliwości ich świadczy ustęp następujący: „Możnych należy mniej i łagodniej torturować, niż ludzi z gminu o herezyę podejrzanych".

Papież zaś Innocenty III. postanowił w jednym ze swych dekretów: „Słuszną jest rzeczą, że świeckim zdrajcom stanu zabiera się majątek, a dzieciom ich jedynie z litości zostawia się życie.

Najczynniejszym inkwizytorem był hiszpański dominikanin Tomasz Torguemada, który spalił 100,000 ludzi.

Inkwizycja w Hiszpanji przetrwała do r. 1808, zniósł ją dopiero Napoleon; w Portugalji inkwizycja przetrwała aż do r. 1821.

U nas tej plagi średniowiecza nigdy nie było, (szkoda, że pan Wrocki nie zaznaczył tego), dotąd jednak panuje u nas ciemny fanatyzm kultywowany przez kler od wieków. Więc też za prawdziwą zasługę poczytywać należy wydawanie broszur w rodzaju „W imię krzyża" (która zresztą jest pierwszą z całego cyklu), jak to zapowiedziano w przedmowie.

MISCELLANEA.

WATYKAN WALCZY O BYT.

Od chwili, gdy strumień Świętopietrza płynący z Francji wysechł, kurja rzymska znalazła się w tarapatach pieniężnych. Od dłuższego czasu tedy łamią sobie głowy dygnitarze Watykanu, jak znaleźć łatę na tę wielką dziurę. Ostatecznie musi dwór papieski zachować powagę i nie może ni ztąd ni zowąd założyć przedsiębiorstwo przemysłowe, a doświadczenie wykazało, że »strohmani« nie są pewni. Gdyby nie przeklęty wzgląd na wzniosłe tradycje *Patrimonii Petri*, mogliby kardynałowie rzymscy wstąpić do znakomitej a prosperującej firmy «Chartreuse» i dzielić się zyskiem z benedyktami. Wszakże to nie uchodzi; Rzymowi bowiem nie przystoi wytwarzać likierów materjalnych, zamieniających się na brzęczącą monetę, jeno duchowy spirytus dogmatyczny, który od czasu jak Francja przeniosła się do lóż wolnomularskich nie przynosi już dóbr doczesnych. Co robić? Wpadł tedy ktoś z doradców ojca świętego na pomysł nabycia w monopol interesu „*Avvocati di san Pietro*", który, jak wiadomo z powodzeniem spieniężają swoje znaki członkowskie, jako ordery. Plan ten tem bardziej podobać się musiał finansistom Watykanu, że wkrótce nastąpić ma jubileusz papieża. Odbito tedy medal, który kardynałowie papiescy otrzymują bezpłatnie, ale i inni rozproszeni po świecie wierni mogą go otrzymać pod warunkiem że zapłacą zań conajmniej *8 franków*. Jakoż medal istotnie prezentuje się bardzo ładnie i uderzająco przypomina order, więc nie zbraknie zapewne nabywców. Pozatem otrzymuje każdy nabywca prawo przybrania medalem swej piersi, a prócz tego został odbity medal mniejszy dla noszenia w butonierce lub przy zegarku. Któż tedy utrzymywałby, ze całe to przedsięwzięcie jest spekulacją na próżność i żądze orderów naiwnych ludzi? Jest to dobrodziejstwo: za kilka rubli będzie każdy mógł nabyć order, i nie ulega wątpliwości, że w krótkim czasie nie będzie ani jednego obywatela katolika, któryby nie mógł się poszczycić tym skromnym a pięknym upominkiem. A gdy wszyscy katolicy posiądą order jubileuszowy, natenczas minister skarbu Watykanu wynajdzie nowy znak łaski papieskiej. Chwilowo została dzięki temu wynalazkowi nietylko zażegnana katastrofa finansowa, ale nadto roztrzygnięta została kwestja społeczna: nowa formuła socjalna brzmi: nie każdy katolik musi mieć kawałek mięsa na obiad, ale każdy mieć powinien order jubileuszowy.

a.

ORGANIZACJA CHAŁUPNIKÓW.

W tych dniach odbył się w Wiedniu V Zjazd pracownic domowych Austrji. Zasługuje on na uwagę jak jeden z niewielu objawów organizacji wśród tej najgorzej wyzyskiwanej warstwy proletarjatu.

Wyzysk doprowadzony jest tutaj, dzięki wyjątkowym warunkom w jakich znajdują się pracownice domowe (p. artykuł p. t. Chałupnictwo № 11) do ostatecznych granic. Ustalono w toku obrad, iż za pewien rodzaj bluzek damskich płaci się 24 halerze ($9^1/_2$ kop.) za pewien gatunek koszul damskich —48 halerzy ($19^1/_5$ kop.) *za tuzin*, a za ten sam gatunek majtek 60 halerzy (24 kop.) za tuzin, przyczem szwaczka musi użyć własnych nici. Najgorzej jednak płatne są szwaczki w ubiorach dziecinnych; straszliwie nizką jest praca również w wyrobie gorszego gatunku zabawek bazarowych; tak np. za pewien gatunek bucików płaci się 14 halerzy ($5^1/_2$ kop.) *za gros (144 sztuki)*.

Nic tedy dziwnego, że organizacja wsród tych pracownic napotyka na nadzwyczajne trudności. Nędza czyni je niezdolnemi do jakiegokolwiek reagowania na wyzysk, a wycieńczenie wskutek niepomiernie długich dni roboczych i brak czasu stawiają im przed oczy jedyny, jak nadziś, niedościgniony jeszcze ideał: wypoczynek. To też nie może prawie być mowy o jakiejś pracy oświatowej i kulturalnej wsród tych nieszczęśliwych, a organizacja musi się ograniczyć na wzajemnych zapomogach w nieszczęśliwych wypadkach i na pośrednictwie pracy. To ostatnie jest również utrudnione, gdyż organizacja pośredniczy tylko w takich wypadkach, kiedy wynagradzanie choć w przybliżeniu odpowiada minimalnym taryfom ustanowionym przez związek, a wyzysk i obniżenie płac w chałupnictwie stale postępuje.

Pomimo tak nieprzychylnych warunków związek się rozwija. Wprawdzie z 1934 nowych członków przybyłych za ostatnie 2 lata, pozostało tylko 310, ale i ta liczba oznacza postęp w rozwoju organizacji, której ogólna liczba członków wynosi w chwili obecnej 1249.

Weźmy kilka innych liczb ze sprawozdania. Wydział oświatowo-kulturalny odbył za 2 lata sprawozdawcze 628 wieczorów odczytowo-dyskusyjnych, 146 posiedzeń związkowych, 42 wieców politycznych, 85 zebrań kobiecych. W zorganizowanych przez grupy lokalne lekcjach ogólnych brało udział 203 członków. Biblioteka związkowa cieszy się stale wzrastającą frekwencją.

Dochody za dwa lata ostatnie wynosiły 13.724 koron 45 hal., wydatki—12.629 koron, a mianowicie: na zapomogi 1917 koron, na lekarza 250 koron, na agitację 623 korony. Związek wydaje pismo p. t. „Gazeta Robotnicy" dwutygodnik, który członkinie otrzymują bezpłatnie. Koszta wydawnictwa pisma wynosiły za dwa lata 3808 koron, jest to suma znaczna, wszakże pismo stanowi tak potężny czynnik

kulturalny i organizacyjny, że wyrzec go się niepodobna. Wrzszcie koszta biura pośrednictwa pracy wynosiły 576 koron; biuro pośredniczyło w 699 wypadkach.

Widzimy tedy, że jakkolwiek na małą skalę, organizacja działa, pracując nad podniesieniem nieszczęśliwych chałupniczek. Miedzy innemi zostały na zjeździe wyświetlone niektóre ciemne strony chałupnictwa; wyjaśniono np. że w niektórych gałęziach ustalenie taryfy jest o tyle niemożliwe, że przedmiot przechodzi przez trzy, cztery ręce i nie wiadomo komu należy stawiać żądania; jakkolwiek może się to wydać dziwnem i smutnem, to przecież same robotnice domowe występują jako przedsiębiorczynie, zatrudniając inne robotnice domowe przy wykonaniu drobnych części przedmiotu: wyzyskany wyzyskuje ze swej strony. Podobnież stwierdzono trudność przeniknięcia do chałupnictwa prawodawstwa robotniczego, niedostateczność dotychczasowego prawodawstwa w dziedzinie ochrony robotnicy wogóle, a domowej w szczególności.

W końcu postanowiono zorganizować kilka nowych oddziałów związku na prowincji, tudzież wypłacać zapomogę już w drugim tygodniu choroby, nie zaś w trzecim, jak dotychczas.

A.

OGŁOSZENIA.

Wyszła swieżo znakomita powieść tłumaczona na wszystkie języki

Uptona Sinclaira

Trzęsawisko

wydanie zupełne w 2 tomach z portretem autora.

Cena rb. l kop. 50, z przesyłką rb. l kop. 70.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

„Grzechy księdza Prefekta".

Szkice psychologiczne

Antoniego Millera.

Do nabycia we wszystkich księgarniach kraju.

Cena **kop. 60.**

Wydawnictwa Naukowe.

Wyjątkowa cena dla prenumeratorów „SPOŁECZEŃSTWA"

U. Sinclair. „Trzęsawisko". Wydanie kompletne w dwóch tomach, z portretem autora. Cena rb. 1 kop. 50.

NARODOWA DEMOKRACJA, przez Ludwika Kulczyckiego. Cena 20 kop.

ANARCHIZM w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosji, przez L. Kulczyckiego. Cena 50 kop.

KWESTJA ROLNA w programach partji rosyjskich a ruch wolnościowy w Rosji, przez K. Zalęwskiego. C. 15 k.

W PAŃSTWIE PZYSZŁOŚCI. przez d-ra A. Pannekoeka. Cena 15 kop.

F. Lassalle. Program robotniczy, Cena 10 kop.

St. Brzozowski. Ich rewizjonizm. Cena 10 kop.

Paulsen. Kant i jego nauka. Z 3-go wydania niemieckiego przełożył i wyjątkami z „Krytyki Czystego Rozumu" i „Krytyki Praktycznego Rozumu" uzupełnił J. Wł. Dawid. Książka ta znajdować się powinna w bibljotece każdego inteligenta. Cena rb 2.

Sully Jakób. Dusza dziecka. Cena rb. 2 k. 50.

J. Wł Dawid. Zasób umysłowy dziecka. Przyczynek do psychologji doświadczalnej. Cena kop. 50.

J. Wł. Dawid. O wykładzie psychologji jako nauki doświadczalnej. Cena kop. 30.

Ribot. O wyobraźni twórczej. Cena kop. 25.

H. Höffding. Zasady etyki. Cena kop. 25.

J. Szczawińska. Pensje żeńskie. Cena kop. 15.

O. Bauer. Zagadnienie narodowości. Opracował M. Aleksandrowicz. Kop. 50.

J. Wł. Dawid. Mózg i dusza Kop. 30.

Prenumeratorzy „Społeczeństwa" kosztów przesyłki nie ponoszą.

Wysyłać zamówienia pod adresem redakcji „Społeczeństwa" Żórawia 29 m. 2, tel. 116-67.

L. Kulczycki

Narodowa Demokracja

CENA 20 KOP.

Wydawnictwo „Społeczeństwa".

„SFINKS"

miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy pod redakcją **Władysława Bukowińskiego.**

Cena zeszytu III (str 176) kop. 80, pocztą rb. 1.

Nowi prenumeratorzy, nadsyłający przedpłatę od kwietnia do końca roku (rb. 6) wprost do administracji „SFINKSA" (Miodowa 15) otrzymywać mogą zeszyt III bezpłatnie aż do wyczerpania nakładu, płacąc tylko za przesyłkę pocztową kop. 25.

Zeszyt II „SFINKSA" jest już na wyczerpaniu i ma być powtórnie wydany.

Prenumerata „SFINKSA z przesyłką rb. 2 kwartalnie; za granicą rb. 2 kp. 50. Cena ogłoszeń za całą stronicę rb. 10, 1/2 str. rb. 5, 1/4 str. rb. 3.

Adres: Miodowa 15, tel. 75.31 w Warszawie.

Redaktor i Wydawca *Antoni Miller.*

Druk E. Skowrońskiego, Nowy-Świat 43.